

**STEFAN
ŻEROMSKI**

MIĘDZYMORZE

Stefan Żeromski

Międzymorze

«Public Domain»

Żeromski S.

Międzymorze / S. Żeromski — «Public Domain»,

Poemat prozą opiewający niezwykłość nadmorskiej przyrody i życia codziennego. Każda chwila uchwycona z precyzją uważnego obserwatora i oddana w bogactwie metafor, porównań i wyszukanych epitetów. Żeromski zasłynął jako autor literatury marynistycznej. Pisał powieści, szkice i opowiadania poświęcone tej tematyce, a nawet przewodniki po Pomorzu. Z każdego wersu poematu „Międzymorze” przebija wielka miłość jaką żywił do Bałtyku, jego krajobrazów i nadmorskiej natury. Specyficzną liryczność języka najlepiej odda fragment utworu: „Twórca dnia, wiekuisty i nigdy nie gasnący ogień niebieski, doskonały krąg żywota, światów i bytów, złote słońce stacza się oto z nieboskłonu. W szkarłat niestrzymany dla oka nabrzmiałej kuli przemienia złoto swojego kręgu, rozciąga kulę w kształt wydłużonego elipsoidu — i w wodach puckich, kędyś naprost królewskiego Rzucewa tonie w rozplamionym Małego Morza obszarze”.

© Żeromski S.

© Public Domain

Stefan Żeromski

Międzymorze

*Drużynie harcerskiej męskiej imienia Adama Żeromskiego w Sejnach swe
– „czuwaj!” – z głębi serca przesyła autor.*

*„... Grzmiącemi piersiami białe roztrąca się morze i z pianistej gardzieli
piasku strumienie wylewa...”
Adam Mickiewicz*

Zachwyciła się fijołkowa chmurka pięknnością rogatego księżycy na godzinę przed wschodem. Rozpostarła się, ni to uwielbienie bezsilne przed srebrnym majestatem, w dole jego połyskliwej bryły.

Nie może odpłynąć na wschód, nie może się na zachód odczołgać.

Dalekie niebo przybrało kolor pomarańczy, dojrzewającej w ogrodach wschodu.

Jak owoc dojrzewający nasycy się blaskiem słońca, które zmierza w te strony.

W głębinie jasnej nocy spoczywa w blasku miesięcznym nieruchomy bór sosnowy.

A bór utkany jest z koron tak bujnych, jakby żywiące go pnie nie z bezdennych wyrastały piasków, lecz z tłustego iltu Nałęczowa.

Ani jedna gałązka, ani jedna witka, ani jedna igła nie porusza się, nie wzdyga, nie powiewa.

Zamilkł teraz czujny kogut, tak tęskniący za słońcem wśród ptasiego rodu, jak słonecznik i heliotrop wśród roślin.

Gołąb nakrył żółtą źrenicę błoną powieki i przytulił śniade łono do łona gołębiczy.

Łagodnie i niepostrzeżenie wygina się południowy brzeg półwyspu, przybierając w oddali kształt głowy i dziobu gołębia.

Od tego dzioba ziemi biegnie w bławe morze szlak ledwie dostrzegalny dla oka.

Tam w dali widnokraż zagłębia się we mgłę fioletową, a linia granatowa zaznacza, iż to morze bierze rozbrat z firmamentem i wydziela się w mocarstwo swoje od powietrza bez granic.

Jasny pas piasku, pełen bladożółtych odcieni, jak wgięta płaza miecza wielkiego, ściela się na dalekiej przestrzeni.

Na tem otwartem nadmorzcu zabiegliwa fala zcicha tej nocy pracowała.

Przynosiła niestrudzenie i raz koło razu półkolistemi naręczami kładąc w przeguby i wiązania, wśród rytmów niezmiennych, miotając webło, czyli kidzenę, czyli morską trawę, którą z głębokich zatargów, z mulistych głębin wyniosła i na ten strąd wydzieliła.

Wielobarwna trawa nikle widnieje na bladym pobrzeżu, jakoby szlak kolorowy na delikatnym ciałeczku morskiej chełbi, czyli barwistej meduzy.

*

Wzniosło się słońce z topielisk, ponad wszelkie słowo piękniejsze, rzucając radość żywota w lądy i w morza.

Poczuły nieznaną nam rozkosz róże w ogrodzie i wydały w spazmach rozkwitu pachnące westchnienie.

Rozrywa się lepka cieśnia ich płatków, gdy po długich deszczach spadła na nie w ten czerwcowy poranek płomienna sfera upału.

Niewidzialny kos, pustelnik, ukryty w zielonych gałęziach sosny, pochyłej od wiatrów zachodu, która dlań puszcza jest macierzystą i ojczyzną, wita słońce uwielbiającym poświstem.

Karmazynowy, kwiat begonii dźwiga kielich swój spod piasku, którym go chłoszczące wiatry i nawalne deszcze przybiły.

Wysuwa się z za cienia sosny, istny żebrak z mrocznej kruchty kościoła, stukający swemi kulami, w pośpiechu na łeb na szyję, żeby zobaczyć lśniące koła karety, w której cesarz Indyi w majestacie swym szybko przejeżdża.

Wznioślejszy jest ponad wszelkie słowo uwielbienia ten powrót słońca.

Wieczny jest i niezmienny, zawsze tensam, a nigdy ani o jedną jotę, ani o jedną kreskę nie mniej oślniewający i budzący zdumienie, niż przed nieskończonym czasu oceanem.

Sieje oto obłoki pyłu i zapładnia dziewicze słupki żyta na urodzajnej kępie Oxywia.

Pogania ławice wiosenne śledzi ku wodom napoły słodkim, zasilanym przez Wisłę.

Wyciska lepkie soki z szyszek młodocianych sosny.

Otwiera wysmukłe pąki nadmorskich goździków i wydostaje z nich strzępiaste płateczki, najdelikatniejszymi kreskami różu nikle zabarwione.

Zbudził ze snu żółtego motyla i kazał mu w obłędzie szczęśliwym polatać nad szafirowemi falami morskich przestworów.

*

Gruba chmura, która całunem ogarnęła moją duszę i całunem zasłoniła moje oczy, odwinęła się tego rana.

Dźwignąłem głowę spod całunu i podniosłem oczy na tę stronę ubogą.

Uśmiechnęły się do mnie własnym uśmiechem mej duszy wyżyny, białe zasy piaszczyste, bladą porośnięte wydmuszycą.

Roześmieję się jeszcze ze szczęścia mej młodości, od nadmiaru siły oczu, z przepychu władzy mojej, która niegdyś radośniejsza bywała od słonecznych promieni.

Wyszedłem ze zgnilizny i spośród latających błot miasta, gdzie mię życie trzyma, – spomiędzy kanałów i kawałów, oszustw, dowcipów, biegów do mety dla pochwycenia pieniędzy, władzy i sławy.

Widzę nareszcie ciała ludzkie, z których opadły stroje, szaty, szmaty i gałgany.

Widzę nareszcie ciała ludzkie w najpiękniejszym ich stroju, w spaleniźnie, szacie pełnej powabu.

Zgorzałe od słonecznego pożaru, przejrzone przez słońce nawylot, zabarwiły się na rdzawo, na rudo, na płowo.

Białe, wymokłe ciało miejskie jest tu obmierzłe dla oczu, budzące wstręt, jako ślina.

Płuca tu oddychają powietrzem, do którego nie dosięga brud, kurz, pył i latająca w nich zaraza.

Klatki piersiowe mężczyzn, ich karki, żebra, uda, lędźwie, ręce i nogi pali niestrzymane słońce, jakoby tysiąc lamp kwarcowych.

Kobiety mają tu nie tylko sadło, pokryte białą skórą i bezwładne kształty, godne pościeli i rozkoszy, lecz silne ścięgna, mięśnie sprężyste i kości, pełne mocy.

Nawet obmierzli, ułomni i szpetni, nabierają tu wdzięku i kształtu.

Starzec siedemdziesięcioletni, wyszedłszy z błękitnej kąpieli, ćwiczy gimnastycznie swe ciało, wyrzuca to ręce, to nogi, zgina wiekowy kręgosłup, czaszką spaloną na czarno połyskuje wokoło, zwyciężając niezwalczoną siwiznę.

Dzieci ciemne, lub rude od słońca i wiatru z południa, jak anioły igrają w blasku, odtrąconym przez falistą powierzchnię.

W bryzgach piany biegając bez przerwy, noszą istną aureolę świetlistą dookoła sprężystych swych ciałek.

Morze wiekuiście ruchliwe podnieca energię ich skoków, prześcigów, poruszeń i tańców, – wiatr wschodni popędza je z miejsca na miejsce, – a światło, migające na falach śmiech nieskończonej radości w nich budzi.

Bawią się z olbrzymim potworem, który szpik ich kości mocą życia nasycza, a ze krwi nasiona zarazy, ziarna śmierci wypędza.

Chwytają go za gardziel drobnymi rączkami, a krople złota i srebra sypią się na wsze strony z ich maleńkich paluszków.

Daleko, daleko w morze, aż ku ławicom podwodnym, na których zachłysta się fala, pływaczka wysunęła się młoda.

Prawe i lewe jej ramię naprzemiany świetlistą wodę roztrąca, a głowa o urodzie wspaniałej raz wraz melodyjnie, to w tę, to w tę stronę, jak w tańcu się chyli.

Na podsypiskach, tam, gdzie słońce najognistszym przypieka pożarem, leżą twarzą do blasku ostrego nieruchome kadłuby nasycających się światłem.

Tam, gdzie już ludzi niema, łańcuch zachyleń, ostoji i bugajów wgrzyza się w podsypiska, a szczodra, od piany czubata fala wodna nieskończenie, wskok się narzuca.

Palce nóg nie wgłębiają się i nie mogą odcisnąć na tem ciemnym boisku, a pięta nie więźnie w wychłostanej i stwardniałej płaskoci.

Na nieskalanym, przymorskim chodniku piszą wciąż fale smugi dymne i sade.

Pomilionkroć muskają i gładzą, a dopasowują w formę doskonałej płaszczyzny piasek, już dawno zmielony na mąkę.

Nad głębią strony, czyli nad tą smugą przybrzeżną, skąd podplusk na strąd wbiega, ciemna lśni barwa.

Za nią ciągną się zielenice, smugi płycizn, pod którymi tkwi rewa i zalegają piaski zdradliwe.

Tam, z wielkich idąc oddaleń, z ciemnych bezkońców, wały morza spotykają przeszkodę, wrą tedy, złoszczą się, pienia.

Gdzieniedzie na mojej drodze wiązka rudego webła uderza w spojrzenie, kudłata, śliska, ośliniona i osypana bąblami.

Wydarło ją bujne morze mocą swoją i władzą, ostoję i przytułek igrających dorszów i storni, czy wydarła przemocą dena matnia kręcichy, rybackiego niewodu.

Ani jeden kamyczek nie wynosi się z toni.

Gdzieniedzie ułamek zczerniałego drzewa, korek, lub szczątek węgla z człowieczego kędyś ogniska czerni się zdala w blasku pobrzeża, jak resztką wstrętnego brudu.

Morze otrząsem wewnętrznej odrazy i womitem zewnętrznym wyrzuciło go z siebie.

Ostra wełna nieustannym zakosem podbija stare piaszczyste pokłady, podrzyna niematerialnym swym cyrkiem wypukłe półwyspy i wklęsłe zatoki.

Tu i tam odsłania barwne ostrze, nikłemi zdobione kolory, ubite dawno, uklepane warstwie.

Niestrudzony, jednostajny poszum morski przesącza się wpoprzek ciszy.

Lecz oto zniweczył go i roztrącił szelest pluszczący i świszczący.

Wysmukły, nagi młodzieniec, o budowie efeba, wszystek brązowy, z twarzą, w której tylko białka oczu błyskają, jednostajnymi skokami plażę przebiega.

Kark jego jest prosty, łopatki w tył podane, kędzierzawa głowa zadarta, ręce pod pachami złożone i dłonie zaciśnięte.

Pierzchliwie pryska spod jego bystrych a rozrostłych stóp morskie rozpostarcie na strądach.

Zda się, iż pierzaste skrzydła migają z prawej i z lewej strony u każdej miedzianej jego stopy.

Zda się, iż to skrzydłopięty Hermes z Olimpi, ocknął się i przebiega wybrzeżem północnego morza.

Ciemna postać w oczach oddala się, mętnieje, mgłą się zawściąga.

Daleko w błękicie znika.

*

Na przymorskim chodniku, który stanowi wschodnie brzuśce przyrostów półwyspu wciąż linia złotofalista wynika i przygasa.

Niema tam już ludzi.

Nareszcie – niema nikogo.

Bieli się tylko w dalekim błękitie stado mew wiecujących.

Złożone są ich płowe, smużką białą ośnieżone skrzydła i białe głowy widnieją zdala na fali.

Z siodłatej barwy zwierchniego płaszcza swych piór podobne do morza w czas burzliwy, – barwą głowy i spodnic naśladują piany, pędzące na czubach bałwanów.

Spłoszone widokiem przychodnia, pierzchają, wnet jednak zlatują białymi piersiami we wzdęte podrzuty żywiołu i, jak łodzie człowiecze, ponosić się każą.

Jedna tylko, odbita od stada, wciąż krąży.

W moją stronę nawraca.

Unosi się wyżej i niżej, jak jastrząb kołuje, leci w prawo i w lewo.

Jak strzała wprost na mnie przypada z wyraźnym zamiarem napaści.

Widzę tuż nad swą głową rozpostarte jejskrzydła, dziób rozwarty, słyszę krzyk chrapliwy i dziki.

Gdybym kij swój podźwignął, znalazł kamień, uderzył z całej mocy ramienia, zabiłbym napastnicę.

Dostrzegła, czy przeczuła niewiadomą mi władzę ten zasób mej potęgi, ten impuls mojej woli, bo krzyk jej stał się ostry, złowrogi, zaiste wojenny.

Nie inaczej – wyzwala mnie do boju!

– Czegoż odemnie chcesz, skrzydlata? Com ci krzyw, śnieżnopióra? Czy i ty w tej samotni, na granicy wód i piasków tylko prawa wojny za prawa uznajesz?

Krzyk rybitwy nie ustał, nie zniżył się, nie nacichł, lecz się wzniósł i dosięgnął granicy obrzydliwej rozpacz.

Zrozumiałem treść tych ptasich okrzyków.

Zrozumiałem dokładnie.

Poczytuje mnie, widać, za kształt śmierci dwunogiej, która zmierza w kierunku jej gniazda.

Krok mój poczytuje za krok śmierci, który lada chwila nadeptnie na gniazdo, ukryte kędyś w zagajach charszczów i badylów tej strony, ukręcone z kolczastych włókien mikołajka.

Wiem, dobrze wiem, co jest w krwionośnym sercu, gdy dwunoga śmierć zbliża się do gniazda, przytulonego do ziemi.

Wiem, dobrze wiem, co jest w rozwartych oczach, gdy spokojna, obojętna, radosna przechadza się w pobliżu, na ścieżce prowadzącej do progu.

Mam w gardzieli tensam krzyk, który się spod twego serca wydziela, ptaku popielaty.

Każdy odcień chrapliwy pamiętam na widok przybliżania się i na widok oddalania.

Znam także odcień tego krzyku, gdy nie omija schronienia i, wpośród tysiąca innych, do mojego jedynie wybiera się w odwiedziny, – gdy, – po tysiąc kroć przeklęta! – na mojem nieszczęsnym sercu wszechmocy swojej próbuje.

– Ucisz się, matko!

Nie ja to jestem kształtem śmierci twojej, lub czyjejkolwiek, kogo aż do śmierci miłujesz.

Ja jestem, jako i ty, jedynie ptak polotny, którego skrzydła burza z prawa i z lewa podbija.

Przez twoją świętą trwożę, przez twój krzyk żalostnej miłości, niechaj bezpieczne będzie twe gniazdo małe!

Wyprowadź cichcem, a nieobaczkiem, przed zbójcami dzieciątka swoje między dwie błękitne otchłanie, wyższą i niższą, między niebo i morze.

Niechaj szczęśliwie, według swojej natury, w rozkoszy bytowania wygną sustawy i pióra swych skrzydeł.

Niech najpotężniejszemu wichrowi sprzeciw postawią i, jako żagle, zagrodzą drogę, żeby dzięki lekkiej przeponie ich kostek, ścięgien i piór sam musiał je naszać aż pod lecące obłoki, wywyższać, podnosić wzgórze, w promieniach słońca wiecznego.

*

Twórca dnia, wiekuisty i nigdy nie gasnący ogień niebieski, doskonały krąg żywota, światów i bytów, złote słońce stacza się oto z nieboskłonu.

W szkarłat niestrzymany dla oka nabrzmiącej kuli przemienia złoto swojego kręgu, rozciąga kulę w kształt wydłużonego elipsoidu – i w wodach puckich, kędyś naprost królewskiego Rzucewa tonie w rozpłomienionym Małego Morza obszarze.

Gdy na wybrzeżu, w gwarnym Sopocie, w pięknym Orłowie, w Gdyni, rozgłośniej od łoskotu prac, rozciąga się już przedmrok błękitu, gdyż słońce zaszło tam już za lasy uroczego wzgórz łańcucha, – na podsypiskach i dunach Helu wciąż jeszcze trwa świetlisty dzień, aż do ostatniej chwili pograżenia się w falach górnego krańca płomiennej słońca korony.

Do tej ostatniej chwili skaczą w jego promieniach dzieci radosne na białych pochylniach i w pianach tęgo wygrzanych.

Oczy wszystkich śmiertelnych z pożegnalnym westchnieniem i z wewnętrznym szeptem uwielbienia zwracają się w tej chwili ku odchodzącemu rozdawcy żywota.

W każdym oku objawia się trójkąt piękności, wiecznie istniejący i zawsze ruchomy, przenośny z miejsca na miejsce, stworzony przez linie nieskończenie długie między źrenicą, między słońcem ubywającym i linią jego odbicia w morza drgającej powierzchni.

Na drgającej morza powierzchni wynika kresa ruchoma, której widok zależny jest od każdego kroku człowieka w prawo lub w lewo, istniejąca rzekomo na rozległych wodach, a nieistniejąca poprawdzie.

Dokądkolwiek pójdzie i skądkolwiek spojrzy, – gdyby nawet obszedł Wielkie i Małe morze wokoło, ściele się przed nim o zachodniej godzinie na wsze strony, ażeby mu pokazać najpiękniejszy widok na ziemi: ślad słońca odchodzącego, który na morzu przygasa.

Jakże wieloraka, jak nienaśladowana dla żadnej ze sztuk i dla żadnego z usiłowań człowieka jest złotolita i srebrnolita, rubinowa i dyamentowa wstęga na morzu!

Dla każdego oka jest własna, dla każdego oka gdzieindziej, jest wszędzie, w istocie nigdzie jej niema.

Igrające ryby skaczą w niej, zataczając dookoła siebie kręgi i sypiąc iskry złote, są to bowiem w tej chwili ryby złote, których nigdy nie było i nigdzie niema, okrom wielkiego mocarstwa cudownych baśni piastunek i okrom nieobeszłego mocarstwa poezji.

Trójkątne skrzydła płóciennych żagłów, – klin na przedzie, wielki grot w środku, topzagieli w gorze, – przesuwiają się poprzez pręgę złotolitą, nabierając złota, srebra i drogich blasków w bryty swoje, i w zaświat czarodziejski, do mocarstwa baśni dzieciństwa, do stolicy Cudogrodu z tych wód odpływają.

Gardzina młody, bohater nieulekły ze świetlistym oszczepem w dłoni stoi przy drzewie masztu i śle oczom starym zdaleka patrzącym pożegnania na zawsze, na zawsze – niepojęty znak dobranocny.

Zagasło słońce w wód topieli.

Noc nadciąga.

Przepych szkarłatnej, cienkiej pawłoki ściąga ze siebie lśniące morze.

Zagasa szkarłat, szafran, kolor nasturcyi, zieleń, błękit, niebieskość i fiolet.

Zdmuchnięty został i zagaszony złoty szlak drogi słonecznej.

Smutek i przestach, nie dający się ująć w wyraźne słowa, ani nazwać po imieniu przejmując tajemnym sposobem kości i uciska serce człowieka.

Niepokój potrąca nerwy, gdy zagasła złota światłość słoneczna, a trójkąt niewiadomy, samoświecący wyjęty jest ze źrenicy.

To noc, siedlisko rozkoszy snu i okrąg straszliwy bezsenności, – gdzie ani robak nie umiera, ani ogień nie gaśnie, – daje znak o swym panowaniu.

Noc, – dziedzina rozpasania się ciała i rozpętania się mąk duszy, umocowanej i skrepowanej za dnia przez pamięć, którą słońce żywi i hoduje.

Noc, – otchłań samopoduszczeń się rozpusty i jaskinia bezładnych marzeń o wyjściu poza obręb rozumu, o wyłamaniu zagród, otaczających naturę ludzką, o potędze władzy, przewyższającej moc bogów.

Noc nastaje na ziemi, gdzie panował jasny syn słońca, zdrowy bożyc wcielony w ducha ludzkiego, wszystkowiedzący i wszechwładny rozum.

*

Nad borem znieruchomiałym i w głębokim pogrążonym milczeniu, nad łagodnym zachyleniem się drzew, które tworzy ostatnie zakończenie półwyspu, – zakręt ukojenia, – lśni pełnia księżycowa.

Za tem półkolem uciszenia łagodne morze w blasku miesięcznym igra srebrnym falowaniem.

Sen głęboki zstąpił na ziemię i na morzu panuje.

Zacichły ptaki w boru, mocno trzymając się swych łożysk snu zakrzywionymi szponami.

Zapewnie śpią nawet ryby, ocierające się wielobarwnymi łuskami i najeżonymi skrzelami o bujne, dziwaczne i fantastyczne krzewy wodorostów.

Nawet igranie morza z blaskiem księżycy nierzeczywiste jest i uroku pełne, jak sen.

O, śnie!

O, niepojęta siła odradzania nas do życia rzeczywistego i przeistaczania w inną naturę!

Nasycasz ciało nowymi siłami, a w tym samym czasie nosisz nas o setki i tysiące mil od miejsca, gdzie powłoka nasza spoczywa.

Nosisz nas po przestworach i głębiach, czyniąc z nas istoty inne, niż jesteśmy na ziemi, – lekkie, zwinne i lotne.

O, śnie, tajemnicza potęgo!

Z żebraka i bezdomnego włóczęgi, zażywającego twardego wywczasu w przydrożnym rowie, czynisz króla o sercu radosnym, o myśli wspaniałej, o oku szczęśliwym na widok wiecznie nowego ogrojca radości, gdy słońce powstaje.

Z króla państw, monarchii, księstw, ziem i przestworów, gdzie słońce nigdy nie zachodzi, czynisz nędzarza najostatniejszego między ludźmi, z którego oczu potoki łez nadaremnie płyną, skoro zasnąć nie mógł w ciągu nocy nieskończonej.

O, śnie!

O, świecie radosnych krain i przygód nie do wiary!

Wracamy oto znowu z wypraw, z przechadzek, gdzieśmy widzieli doliny szczęścia cichego, anielskie oblicza i boskie wejrzenia, – albo straszliwe piekielne urwiska.

Wracamy na miejsca swoje w rządzie dwunogów i czworonogów, w oborze żarłoczności i trawienia, na metę walki o jadło, legowisko i rozkosz miłosną.

A byliśmy przed chwilą podobni wiatrom i blaskom, podobni bogom i bogobojni, dalecy od siebie samych, – albo byliśmy straszliwi i obmierzlejsi dla siebie samych, ohydniejsi i bardziej przekłeci od szatanów.

Podobnie, jak w morzu wzdyma się wodny garb, podobnie, jak wyciąga się z oceanu ku księżycowi dziób chciwy, ażeby się do niego zbliżyć, – taksamo z istoty człowieka wiecznie ku księżycowi po nocy cośi wznosi się i wrywa.

Istnieją w nas tajemne i niepojęte siły snu zarazem i czuwania, somnambuliczne stany pokonywania w blasku miesięcznym przeszkód nie do pokonania napozór dla przyrody człowieczej, błędzenia po szczytach spadzistości, po gzemsach budowli i wstępowania z łatwością po pionowości ścian.

Istnieje w nas siła marzeń na skutek blasku księżyca, wrywająca się z naszej zdrowej natury, pragnienie dotarcia do innej strony, zatajonej i niewiadomej, skrytej w nas, czającej się poza chuciami mężobójcy, zdrajcy i szpiega.

Porwani przez siłę marzeń obcujemy ze świętym Franciszkiem, ze świętym Alexym i ze świętym Wojciechem.

Istnieje w nas siła zachwyty, który księżyc świecący nieci, ciągnie z nicości nazewnątrz, podnosi i wydobywa.

Dzięki temu zachwytwi wzdychamy i płaczymy za świętem naszym dzieciństwem, odczuwając niepojętą za czemś żalobę.

Dzięki temu zachwytwi, odczuwany niepomierną, bez powodu radość, iż nie jesteśmy zwierzętami i roślinami, lecz że duch w nas wolny przebywa, duch anioła, wtrąconego do cielesnego więzienia.

*

Czarna kula, wywieszona w skwarny dzień letni na poprzecznicy masztu semaforu obok morskiej latarni, postrach budzi na morzu.

Jaskrawa, czerwona latarnia, umieszczona w teźże kuli, gdy ciemna noc zapadnie nad lądami śpiąciami, podwaja i potraja grozę ciszy.

Czujna latarnia zdaje się oświetlać po nocy czyhające, zdyszane, zdradzieckie burzy oblicze.

O pewnej godzinie nocy daje się słyszeć huk daleki.

Świszczące wiatry dopadają półwyspu i ze wszech stron obskakują węgły domów.

Wśród spłoszonego szumu gałęzi nisko zginają szorstkie czuby krzywych sosen.

Czarny las szarpie się w mroku.

Deszcz chłoszcze starą karpiówkę dachów zzieleniałych.

Podmuchy zbiegane w bezkońcach morza, napotkawszy okienka domostw, przyczepionych do piasku, nagle w nie tłuką, i biją we drzwi, na głucho zatarasowane.

Ciemna jutrznia odsłania morze w pianach, skaczące w furji na duny, od dżdżu szare.

Daleki, zbrudzony horyzont zasłany jest jakgdyby wzburzoną kurniawą śniegu.

Dzikie bałwany nie tylko się rozbijają, lecz zaprawdę roztrzaskują o brzegi.

Zielone ich zawoje zwisają nad półcylicydrycznymi wnętrzami, przez nagły ruch polerowaniami, jak stal, a migotliwiami, jak ogień.

Wiatr zdiera z nich pianę strzelistą i miota ją na brzegi dalekie, lub na morze szalone.

Tłoczą się jedne na drugie pian istne zasy, miazga wzburzona i szumiąca po pękniętych denegach.

Długie drogi wlokącej się śliny od grzbietu do grzbietu wodnego znaczą podstępne i obłudne szlaki i ścieżki żeglarza.

Zdala pędzą, niby wzgórza ruchome ściągłe zasy ku lądom.

Na mieliznach podbrzeźnych, wpół się łamią, przepękają w swej mocy i niweczą w swej sile.

W śmiechu pienistym wzgardliwego żywiołu huśtają się belki ciosane, tramy, ostro kończone paliszczą, pniaków korzenistych kadłuby, gałęzie z kory obdarte, wyrwane skądś deski i rozszarpane gdzieś szczątki człowieczego klecena.

Świszczący wiatr śmiga stronami i smaga wysoczyzny półwyspu.

*

Między Rożewiem a Sambią zalega ten ład dziwny, mierzeja ponad stumetrowymi głębiami. Skądże się tu wziął w czystych toniach, jak tu powstał, – ni to przylądek, ni wyspa, po milion kroć przez wściekły żywioł zdobywany i postokroć szarpany na sztuki?

Tam, gdzie dziś cichy sosnowy bór szumi, istniał pono, – jak głoszą klechdy uczonych, – jakowyś ład, w jakowymś morzu pradawnym.

Studnia w tem miejscu, sto z górą metrów w głębokość ziemi idąca, przecina piasku tylko dwa metry, dalej do dziewięćdziesięciu ośmiu metrów przewierca formacje diluvium, a do stu sześciu metrów formacje kredowe.

Woda bijąca z wywierconego otworu strzela w górę na dwa metry ponad poziomy powierzchni.

Kędyś tedy na lądzie dalekim, w jakimś wyżynnym jeziorze ta woda ma źródło siły swego wytrysku.

Mówią klechdy uczonych, iż ów osuch pierwotny począł w czasie narastać i grubieć, zanim grobla północna poczęła się, jako rewa podwodna.

Grobla północna, – dzisiejsze piaski i niziny Wielkiej Wsi i Kuźnicy i obok nich kotlinowe głębie podmorskie, – były ujściem przedwiecznej rzeki olbrzymia.

Szeroką paszczą swoją, czy szeregiem strumieni w piaskach rytym, Wisła tutaj uchodziła do morza.

W prawieku, gdy lodowiec wspierał się o południowe Bałtyku wybrzeża, Wisła płynęła na zachód szlakami Noteci, ażeby w jedną rzekę splatać się z Łabą.

W dzisiejszej jej delcie pod Gdańskiem stały jakoweś wody zakisłe, olbrzymie zasiąkla, jeziora i błota, z których wody uchodziły na zachód, poza kępą Oxywia, torfowiskiem Gdyni i Redy.

Gdy zaś lodowiec zupełnie, aż do Skandynawii ustąpił, Wisła przebiła się ku północy.

Wciągnąwszy w siebie i zagarnąwszy ze sobą zasoby olbrzymiego gdańskiego rozdołu, z jezior, z błot, ze strumieni ciekących, od strony Laskowic, od Prabutów, od Dzierzgoni, spłynęła ku północy.

Szeroką drogą swoją pogarnęła się ku dawnemu rozdołowi między dunami i kępami, gdzie dziś rozpostarte leżą torfowiska Chylonii, Cisowa i Rumii.

Poprzez terażniejsze Bruckie Żuławy, między Osłaninem i Rewą wlewała się w łożysko, leżące dziś na dnie morza, gdzie torfy, przysypane piachami spoczywają w głębiny trzydziestometrowej.

Kędyś między Wielką Wsią i Kuźnicą szła między szory głębokie, słowińskie.

Niezliczone jej potoki, złobiające drogi swoje skroś gór i rozłogów olbrzymiego krajszcza, wynosiły w ciągu długich stuleci, podczas pełnowodnych wylewów i czasu wiosennych roztopów muły i piaski, kamienie przymarznęte do płynącej kry lodów, olbrzymie pnie drzewne o trzymetrowej średnicy, które do dziś dnia leżą w piaskach międzymorza, nie na jego ubogiej wychowane glebie, lecz przyniesione z bezbrzeżnej polskiej dziedziny.

Dwa wielkie skrzydła tego przedwiecznego Wisły łożyska nieznane są, albowiem w morzu nazawsze zginęły.

Jedno od Gdańska do Gdyni, drugie od Rewy do wielkiej Wsi i Kuźnicy.

Obadwa pochłonęło morze, które wiekuiście wyniosłe kępy ujada, a przyległe do nich niskie lądy na dno swoje potraça.

Widnieje tylko szlak ziemski między Gdynią i Rewą.

I dziś jeszcze Wielkie morze czatuje, ażeby się wdrzeć na błota karwińskie, torfy ich piaskami zasypać, a z wyżyny Rożewia uczynić międzymorze, któreby kształtem swoim głowę bawołu tworzyło, z dwoma, – helskim i karwińskim, – rogami.

Z pracy Wisły przedwiecznej, której długości i wielkości niepodobna ogarnąć myślami, powstały olbrzymie złogi mułów, piasków i kamieni, które morze zwycięskie, wdarłszy się w te obszary, mełło i wyrzucało za siebie.

Przez wieki tworzyło wał, – zrazu podwodzia, – płytką rewę, szereg mielizn i haków, – potem groblę nadwodną, stałą cienką mierzeję, nieraz rozszarpaną w stu miejscach, która kępę dawną Helu z kępą Swarzewa złączyła.

Jak teraz przed zdumionymi oczyma wędrowca odkrywają się tajemnicze doliny, rozdoły w lasach pochowane, biegnące ku zakisłemu i w posepną wilgoć otulonemu łożysku, urocze samotnie Starego Kacka, Witomina, Chwarzna, Chyłońskich Pustek i Łężyc, – prawdziwie z tatrzańskich regli tutaj przyniesione i w nadmorskim osadzone nadbrzeżu przez bożyszcze złudzenia, – taksamo wielką rzekę przeszłości wyraźnie ukazuje nam w tych miejscach pamięć wyobraźni.

Ukazuje nam ją zachwytną nasz, – Prawisłę, – lechickiej ziemi pracownicę olbrzymią.

Puszcze niezbrodzone, pierwobory dla siebie samych rosnące nad jej brzegami błękitnieją w oddali, zielenieją w pobliżu.

Śnią nad jej urwiskami samotne święte dęby i samotne święte lipy, wszczepione olbrzymiami korzeniami w żwir i gliny, przez tajemnicze siły lodowców uzgarniane, w szczyty i zbocza gór Radłowa, Oxywia, Białorzeki i Dębogórze.

Jak za dni naszych mewy białoczelne nad jej szerokim wodnym przestworem rytmem rwanym, w sposób niewysłowienie uroczy miotają skrzydła długie i wydają krzyk swój bojowy, – ongi taksamo.

Jak za dni naszych, taksamo drzewiej i zawsze zagony łososi idą w przedwiośnia zgodnemi i wiecznie nowymi pochody w górę jej popławów z morza szumnego aż do podnóża gór tatrzańskich, skąd jej zimne, przezyste źródła biją.

*

Jak za dni naszych, skoro na Małym Morzu i przy brzegach wysokich lody stopnieją, a południowy wiatr gorącym tchem powieje, taksamo ongi, hufce łososi ciągnęły z lodowato-zimnych okręgów polarnego oceanu ku słodkowodnym bławej zatoki toniom.

Jak za dni naszych, taksamo wtedy, pędziła je w górę tajna potęga miłosnej roskoszy z modrych mórz w blade Wisły rozlewisko.

Jak za dni naszych, taksamo drzewiej i zawsze zastępy ich szły uszykowane według odwiecznego porządku.

Ciągnęła i ciągnie zawsze na przedzie największa srebrnołuska i bezplamista samica o wielkich uzębionych szczękach i kościach paszczy najeżonych ostremi kielcami.

Za przodownicą płynęły i płyną jedna za drugą w odstępach, jakgdyby na cztery stopy człowiecze wymierzonych samice mniejszego wymiaru i młodsze.

Za samicami płynęły i płyną samce w odstępach, jakby na cztery stopy człowiecze odmierzonych.

Za samcami płynęły i płyną młode w szyku porządnym, przypominającym co do kształtu klucz dzikich gęsi, gdy lecą z północy w południe.

Skoro piękna panowała pogoda, płynęły wierzchem wiślanego wartu z szumem, który ludzi ucho, jakgdyby nadejścia burzy.

Skoro nad krajem przelatywały wichry, pochód grona łososi zapadał na dno i w ciemnicy wodnej ciągnął w górę po trzy mile na godzinę.

Wówczas w łożysku starej Wisły, nie przerażał ich tak jeszcze wysmukły napastnik i zdrajca.

Z czasem nauczyły się czujności, bojaźni i lęku wobec jego złowieszczej postaci, – wszystkich kształtów i kolorów, które z nim są związane, – barw białych, czerwonych, jaskrawych, – oraz ostrożności wobec wszelkich nieznanych hałasów i dźwięków.

Skoro przebiegły napastnik począł stawiać jazy u brzegów, a w warcie rzeki drygawice, w których niejedyn ród wędrowny wyginał, przodownica nauczyła się poznawać wrogie sidła i złowieszcze zasadzki.

Napotkawszy je w swojej drodze, rzucała się wskok, niemal w lot i mknęła, jak błyskawica.

Za nią tymże szlakiem niewidnym, niemal lotem, szył wszystek szyk, szybujący nad przeszkodą.

Jeżeli zaś zasadzka nie była do przebycia lub przerwania, przodownica w kłęb zwijała swe ciało i przeskakiwała pułapki.

Zginała się, jak sprężyna, przybliżając widłową płetwę ogona aż do wystającej szczęki swej paszczy, nagle rozpręzała zwinięte koło swego długiego kadłuba, z całą potęgą uderzała bokiem o wodę i, odbiwszy się od jej powierzchni na pięć i sześć stóp w górę, przeskakiwała zaporę.

Za jej rozkazującym przykładem czyniły to samo wszystkie osobniki zagonu, aby za chwilę ustawić się znowu w dawny agmen i z ogniem niesłabnącym gnać w swoją stronę.

Конец ознакомительного фрагмента.

Текст предоставлен ООО «ЛитРес».

Прочитайте эту книгу целиком, [купив полную легальную версию](#) на ЛитРес.

Безопасно оплатить книгу можно банковской картой Visa, MasterCard, Maestro, со счета мобильного телефона, с платежного терминала, в салоне МТС или Связной, через PayPal, WebMoney, Яндекс.Деньги, QIWI Кошелек, бонусными картами или другим удобным Вам способом.